

MILJENKO JERGOVIĆ

Nadprzyrodzony wyraz jego rąk

Przekład Miłosz Waligórski



Tytuł oryginału: *Nezemački izraz njegovih ruku*
Wydanie polskie na podstawie: Fraktura, Zaprešić 2017

Wydawca
Božena Kućmierowska

Redakcja i korekty
Joanna Pomorska

Redakcja techniczna
Danuta Przymanowska-Boniuk

Projekt okładki, stron tytułowych i opracowanie typograficzne
Janusz Fajto

Knjiga je objavljena uz finansijsku potporu
Ministarstva kulture i medija Republike Hrvatske.
Książka została wydana przy finansowym wsparciu
Ministerstwa Kultury i Mediów Republiki Chorwacji



Copyright by Miljenko Jergović and Fraktura 2017
All rights are represented by Fraktura, Croatia
Copyright for the Polish translation and the Afterword by Miłosz Waligórski
Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Akademickie SEDNO Spółka z o.o.
Warszawa 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone
Kopiowanie, przedrukowywanie i rozpowszechnianie w całości lub we fragmentach
jakąkolwiek techniką bez pisemnej zgody wydawcy zabronione

978-83-7963-084-4
978-83-7963-085-1 (e-book)

Wydawnictwo Akademickie SEDNO Spółka z o.o.
00-696 Warszawa
ul. J. Pankiewicza 3
www.wydawnictwosedno.pl
info@wydawnictwosedno.pl

Część pierwsza
ZAMACH

Historia gruźlicy: młody poeta i przygodny cesarz

Był wieczór, minęła dziesiąta, kiedy do drzwi Princi-
pów w Oblaju załomotał żandarm, ich krewny, i polecił,
żeby czym prędzej stawili się na posterunku w Grahov-
ie, ponieważ „Gavro ubił Werdynanda”. Grahovo, któ-
re leżało na granicy imperium osmańskiego i weneckiej
Dalmacji, było jednym z najbardziej zapadłych mia-
steczek Bośni, nic więc dziwnego, że wieść o strzałach
w Sarajewie dotarła do rodziców Gavrila z dziesięciogo-
dzinnym opóźnieniem. Echa tych wydarzeń zdążyły już
rozbrzmieć w Londynie, Paryżu czy nawet w Ameryce,
rozzumiały się o nich telegrafy zwołujące wojskowe na-
rady, na salonach i dworach całego świata roztrząsano,
kim jest zamachowiec i jakie są jego motywy, a w Obla-
ju Marija zwana Naną oraz jej mąż Petar dopiero budzili
się ze snu. Jak zareagowali na słowa żandarma, czy się
przestraszyli, a może, zgodnie z mitem o męczeństwie

bohaterów Vidovdanu¹, poczuli dumę – tego nigdy się nie dowiemy.

Nana urodziła dziewięcioro dzieci, pięciu synów i cztery córki. Sześcioro z nich wcześniej zmarło. Princi-
powie zajmowali stary dom, dawniej zamieszkały przez
całą wielopokoleniową rodzinę, która jednak rozproszyła
się po upadku zadruży² około 1878 roku. Dom był z ka-
mienią, lecz dach miał drewniany. Drzwi, jak to w Bośni
bywa, znajdowały się tak nisko, że goście przy wejściu
musieli schylać głowę. Oto jak opisał to jeden z żyjących
wówczas pisarzy: „Wchodzimy do »domu« ciemnego,
nieoświetlonego, bez okien ani podłogi; zamiast niej –
klepisko, prawdziwa ziemia. Od razu po lewej stronie
stoi kamienny stolik na breme³ i obok drugi, drewniany,
na garnek. Nad nimi wiszą sufra⁴, kosze i półki na na-
czynia. Naprzeciwko wejścia – trzy skrzynki z drewna,
dzieża, sito, solniczka i znów półka. Po prawej stronie, na
samym końcu, są drzwi do pokoju, pogrążonej w mroku
małej izdebki z jedną starą »kuchenką«, łóżkiem i dużym
korytem do prania bielizny... W szczycie »domu« wid-
nieje czworokątne palenisko w dawnym stylu, ozdobione
charakterystycznym czarnym łańcuchem na kocioł”.

Gavrilo urodził się 13 lipca 1894 roku tak drobny
i słabowity, że matka myślała, iż umrze. Dzień, nawet jak
na lato, był wyjątkowo gorący, Nana rano skopiła siano,
po powrocie do domu zrobiła pranie i już miała brać się za

1 Vidovdan, czyli Dzień Świętego Wita, obchodzony 28 czerwca (lub 15 czerwca we-
dług kalendarza starego stylu), jedno z ważniejszych serbskich świąt religijnych i na-
rodowych; 28 czerwca 1389 roku stoczono bitwę na Kosowym Polu, 28 czerwca 1914
roku Gavrilo Princip dokonał zamachu na arcyksięcia Ferdynanda. (Wszystkie przypisy
pochodzą od tłumacza).

2 *Zadruga* to u Słowian południowych rodowa wspólnota gospodarcza polegająca na
wspólnym posiadaniu, użytkowaniu ziemi i mieszkaniu.

3 *Breme (brema)* – płaska, zwężająca się ku górze drewniana „beczka” do noszenia na
plecach wody lub wina.

4 *Sufra (sofra)* – okrągły stolik, przy którym się jada, siedząc na ziemi.

dojenie krów, gdy nagle poczuła ostry ból, oparła się ręką o ścianę i zaraz wyskoczyło z niej maleństwo. Upadło na ziemię przy palenisku i uderzyło w krzyk. Przytomność umysłu zachowała babcia i natychmiast posłała po protopopa Iliję Bilbiję, by noworodka pobłogosławił i tym samym ocalił od bezimiennej śmierci. Nana chciała dać mu na imię Špiro, po swoim świętej pamięci bracie, ale ksiądz uparł się przy Gavrilu, ponieważ 13 lipca Kościół prawosławny wspomina archanioła Gabriela. Chłopiec jednak przeżył. Dziesięć dni później odbył się chrzest, podczas którego zastępujący popa Iliję pop Miloš Bilbija pomylił się, wpisując jako datę urodzenia dziecka zamiast 13 lipca (jula) 13 czerwca (juna). Czy zrobił to przypadkiem – w końcu nazwy obu miesięcy brzmią podobnie – czy celowo? Przecież gdyby ta data nie została sprostowana, Gavriła po zamachu skazano by nie na ciężkie więzienie, a na śmierć, gdyż właśnie taką karę przewidywało austro-węgierskie prawo dla pełnoletniego zabójcy.

Osiemnastego grudnia 1863 roku, czyli w dniu przyjścia na świat Franciszka Ferdynanda, najstarszego syna Karola Ludwika – brata Franciszka Józefa, nic nie wskazywało na to, że oto rodzi się następca cesarsko-królewskiego tronu, dlatego też dla licznej i rozgałęzionej rodziny Habsburgów to wydarzenie nie miało większego znaczenia. Jego matka, tak samo jak matka Gavрила, nosiła imię Maria, Maria Annunziata. Pochodziła z rodu Burbonów i była córką króla Obojga Sycylii Ferdynanda II, przez poddanych zwanego Bombą z tego względu, że pewnego razu zarządził bombardowanie zbuntowanych miast własnego królestwa. W żyłach malutkiego księcia płynęła krew stu dwunastu arystokratycznych rodzin, głównie niemieckich, ale też polskich, francuskich i włoskich. Więzy pokrewieństwa i powinowactwa łączyły go z wieloma

dynastiami europejskimi. Czekąło go więc szczęśliwe, lecz bardzo konwencjonalne dzieciństwo z solidną edukacją w najlepszych szkołach oficerskich (takie panowały wtedy zwyczajnie, że książęta uczyli się w akademiach wojskowych), a potem spokojne życie w zaciszu dworu. I wszystko to na pewno by się ziściło, gdyby zarówno on, jak i Gavrilo urodzili się kiedy indziej, a nie w epoce, gdy w całej Europie szerzyła się moda na rewolucje i zamachy.

Jego stryj, władca Austrii od 1848 do 1916 roku, stracił czterech bezpośrednich sukcesorów, spośród których trzech umarło śmiercią tragiczną. Zanim urodził mu się syn, pierwszym w kolejności następcą tronu był jego młodszy brat Maksymilian Ferdynand Józef, awanturnik i desperat o niewielkim rozumie, a ogromnych ambicjach. Starszy i mądrzejszy brat na próżno próbował go powstrzymać, on jednak, zrezygnowawszy z wszelkich praw, jakie miał z racji przynależności do rodziny królewskiej, wybrał się do Meksyku, gdzie został cesarzem, a później padł ofiarą rewolucji Benita Juáreza. Sam Napoleon namawiał go do ucieczki, lecz pazerny na władzę Maksymilian nie posłuchał. Trafił przed sąd wojskowy, który wymierzył mu karę śmierci przez rozstrzelanie. Wyrok, mimo protestów i interwencji Watykanu, wykonano 19 czerwca 1867 roku.

Natomiast syn Franciszka Józefa Rudolf stał się następcą tronu od razu w dniu swoich narodzin 21 sierpnia 1858 roku, a utracił ten tytuł dopiero pamiętnego 30 stycznia 1889 roku, kiedy w zameczku myśliwskim w Mayerlingu popełnił samobójstwo. Potem kolej przysła na młodsze-
go brata cesarza, ojca Franciszka Ferdynanda, Karola Ludwika, który jako fanatyk religijny ani trochę nie nadawał się do wielkiej polityki. Wiosną 1896 roku odbył pielgrzymkę do Ziemi Świętej, odwiedził Jerozolimę i napił

się wody z Jordanu. Towarzysze podróży przestrzegali go, tłumacząc, że do tej mętnej rzeczki o dumnej nazwie wpuszczane są fekalia, lecz on zahartowany ogniem wiary nie zważał na argumenty rozumu, toteż 19 maja umarł na tyfus. Wtedy to, w wieku niespełna trzydziestu trzech lat, sukcesorem został Franciszek Ferdynand, ostatni z trójki fatalnych następców starego króla i cesarza.

Zanim jednak zginął, przeszło dużo czasu, a kto wie, może i okazji, by jakiś szczęśliwy przypadek skierował jego los na inne tory. Matka umarła wcześniej, kiedy miał siedem lat. Franciszek dorastał więc u boku surowego, ograniczonego ojca, póki ten nie ożenił się po raz drugi, tym razem z Marią Teresą de Bragança, córką króla Portugalii. Maria okazała się osobą o szerokich horyzontach i wielkim sercu, co na dworze Habsburgów, a zwłaszcza w bliskim otoczeniu arcyksięcia Karola Ludwika, stanowiło rzadkość. Dziećmi męża zajęła się z dużą uwagą i cierpliwością, a kiedy było trzeba, udzielała im emocjonalnego wsparcia. Franciszek Ferdynand wszystko, co w życiu rodzinnym zaznał dobrego, zawdzięczał jej. Tylko ona – warto o tym pamiętać – stanęła po jego stronie, gdy ku przerażeniu starego cesarza i całego dworu zdecydował się zawrzeć małżeństwo z hrabianką Zofią Chotek, Czeszką ze zubożałej rodziny szlacheckiej, którą nadworni prawnicy uznali za niegodną poślubienia przedstawiciela domu Habsburgów. Kochająca macocha potajemnie jeździła po Zofię do Pragi, klękała przed Franciszkiem Józefem, prosząc go o pozwolenie na ten związek, a w końcu w swojej prywatnej kaplicy zorganizowała pasierbowi cichy ślub. Jeśli Franciszek Ferdynand był dobrym człowiekiem, choć nie nam osądzać, to właśnie dzięki niej, czarującej, skłonnej do poświęceń Marii Teresie de Bragança, która przeżyła nie tylko epokę

Habsburgów, ale i następną. Zmarła w Wiedniu pod koniec drugiej wojny światowej, 12 lutego 1944 roku, prawie pół wieku po mężu.

Ojciec Gavrila Petar był pobożny jak arcyksiążę Karol Ludwik, czym wyróżniał się wśród wieśniaków z okolic Grahova. Mimo że poddańczo harował na ziemi beja Sijerćicia, żył zgodnie z kalendarzem Kościoła prawosławnego, przestrzegał postów, uczestniczył w liturgii, okazywał skromność i skrucę – wszystko zgodnie z przykazaniami wiary, bez wielkich pragnień, gniewu czy goryczy. Nie pił, nie przeklinał, w wolnym czasie, w nadziei, że kiedyś wyrosnie z nich aleja, sadził drzewa wzdłuż drogi z Obljaja do Grahova. Pracował jako listonosz i chociaż swój zawód wykonywał sumiennie, ludzie nie za bardzo go lubili. Raczej, co często się zdarza, kiedy chłopci trafiają na bigota, stroili sobie z niego drwiny.

Nana zaś, w przeciwieństwie do męża, była zupełnie areligijna. Uważała, że wiara to kwestia tradycji i obyczaju. Miała, jak mówiono, ładną figurę, siłę trzech kobiet, pogodę ducha i moc słowa. Dobrze i chętnie śpiewała, z czego znano ją w całej okolicy. Gavriło, drobny, niepozorny chłopiec, wyglądem przypominał ojca, jednak charakter bez dwóch zdań odziedziczył po matce. W 1916 roku w tezezińskiej celi kilka razy otworzył się przed doktorem Pappenheimem, psychiatrą i lekarzem wojskowym. Podczas jednej z takich spowiedzi, już skrajnie wyczerpany, niemal zza grobu wyznał, że „nawet w dzieciństwie nie odznaczał się szczególną pobożnością”. Lubił za to czytać, czego – jak pisał Pappenheim – w więzieniu brakowało mu najbardziej. Co noc coś mu się śniło, a sny miał barwne i żywe. Sztuka, zwłaszcza poezja, i fanatyczne poglądy na politykę zastępowały mu wiarę. Był niespokojnym idealistą o dużej potrzebie autorefleksji, zmieniał się, poznając świat.

Ojciec nie chciał, żeby syn został na roli, więc postanowił oddać go do szkoły oficerskiej w Sarajewie. W 1907 roku najpierw trzy długie sierpniowe dni jechali konno z Grahova do Bugojna, a potem wsiedli do pociągu. W Hadžiciach, u wrót wielkiego miasta, czekał na nich Jovo, starszy brat trzynastoletniego wówczas Gavrila. Zaprowadził ich na *čaršiję*⁵, gdzie szukając noclegu, zaszli do karczmy. Na widok orientalnego stroju właściciela i jego gości chłopak wykrzyknął: „Ja tu spać nie będę. To są Turcy!”. Nawet jeśli to tylko anegdota, część mitu o Principie, i tak warto ją zapamiętać. Wtedy zaczęła się bowiem jego transformacja: od ludowych pieśni epickich o Królewiczu Marku⁶ i walk z Turkami do Kropotkina, anarchizmu i wspólnych rojeń o zjednoczeniu południowych Słowian, od prostodusznego i bystrego wiejskiego młodzieńca do spiskowca i tyranobójcy.

Ani Petar Princip, ani Jovo nie interesowali się polityką i nie mieli nic przeciwko austriackim rządów w Bośni. Ale kupiec Jovo Pešut, znajomy rodziny, owszem. Kiedy zajrzeli do niego, żeby Gavrilowi kupić bieliznę, i zdradzili, co planują, oburzył się: „Chcecie posłać dzieciaka do szkoły, która zrobi z niego odszczepieńca i wroga własnego narodu?”, po czym, oferując pomoc, namówił ich na szkołę handlową. I tak oto, dzięki przypadkowemu spotkaniu na Bašćaršii, Gavrilo Princip nie został austriackim oficerem. Kolejnym brzemieniem w skutki wydarzenia okazało się wynajęcie dlań pokoju u wdowy Stoi Ilić, matki Danila Ilicia, sarajewskiego nauczyciela uznawanego za mózg spisku.

5 *Čaršija* (dosłownie: targowisko) – dzielnica handlowa, także sarajewska starówka (Bašćaršija); przenośnie – mieszczaństwo, opinia publiczna, miejska elita.

6 Królewicz Marko – książę serbski, bohater południowosłowiańskiej poezji i prozy ustnej, żył w XIV wieku.

Zrazu Gavriło nie odnalazł się w stolicy Bośni. Z trudem znosił słowne zaczepki i złośliwości, te prastare podstawowe składniki sarajewskiej mentalności, z których pełnymi garściami czerpie znany i lubiany sarajewski humor. Poważny i naiwny jak każdy wiejski chłopak znalazł się w maszynie do mielenia ludzi, doświadczył poniżenia, przetrzącił sobie duszę i stracił pewność siebie. Rówieśnicy kpili z jego niskiego wzrostu i nazywali go Gavrilko, boleśnie grając mu na nerwach i irytując do tego stopnia, że gotów był wszcząć bójkę, co jedynie wywoływało kolejne salwy szyderczego śmiechu. Rychło też zrozumiał, że nie chce być kupcem. Kupcy to lichwiarze, cech niehonorowy, a już na pewno w Sarajewie, na nieprzejrzaną ćaršii, gdzie cały czas ktoś kupuje i ktoś sprzedaje, gdzie sprzedawcy ciągle próbują klienta omotać, oszukać, przegadać, zaczarować jakimś żartem lub anegdotą. Gavriło, jak zresztą większość dzieci ze wsi, żywił dla niej pogardę, uczucie będące jednym z najważniejszych i najczęstszych tematów literatury bośniackiej, od Svetozara Ćorovicia, przez Iva Andrića, aż do Novaka Simića. W ten sposób zrodziła się w nim chęć, by ze szkoły handlowej przepisać się do gimnazjum.

Nie przyszło mu to łatwo, ale brat Jovo znalazł dla niego korepetytora, studenta medycyny Marka Maglova, by udzielił mu lekcji przed egzaminami wstępnymi. Maglov okazał się nie tylko bardzo dobrym nauczycielem, lecz również wywarł silny wpływ na Gavriła, przekazując mu poza wiedzą szkolną treści i zapał, które chłopca z Oblaja zmieniły w porywczego młodzieńca, zbuntowanego przeciwko otaczającym go wsteczniectwu i kołtunerii.

W sierpniu 1910 roku Gavriło pojechał do Tuzli, gdzie zdał odpowiednie egzaminy i zapisał się do czwartej klasy gimnazjum. Tam nie był już wieśniakiem spod Grahova,

a miastowym z Sarajewa. Po tuzlańskich knajpach uczył się gry w bilard, szybko stał się mistrzem karambola. W tej grze znalazł swoją pierwszą życiową pasję i dał wyraz sile charakteru. Podczas partii wszystko nagle traciło znaczenie, przestawały liczyć się szkoła, świat i życie. W Tuzli Gavrilo odkrył w sobie także czytelnika. Pochłaniał wszystko, co wpadło mu w ręce: powieści Aleksandra Dumasa i Waltera Scotta, historie o detektywach: o Sherlocku Holmesie, Nacie Pinkertonie, Nicku Carterze... Większość tych książek, w zasadzie każdą z nich, uważano wtedy za literaturę brukową, a czytanie takiej groziło usunięciem ze szkoły. Jednak właśnie dzięki lekturom utrzymanym w tym duchu bośniacka młodzież epoki początków modernizacji społecznej wyrabiała sobie pojęcie o wartościach obywatelskich i o świecie, w którym razem ze swoją ojczyzną dopiero co się znalazła. Gavrilo Princip należał do pierwszego pokolenia południowych Słowian kształtujących się na wzorach amerykańskiej kultury popularnej. Zza karambola i kryminałów wyłaniała się nowa rzeczywistość, jakże odległa od świata dzielnego chłopca rozkochanego w dziesięciozgłoskowej epice, który nie chciał spać u Turków.

Oczywiście gimnazjaliści mieli zakaz chodzenia do knajp i gry w bilard, tak samo zabraniano im czytania powieści brukowych. Obok amerykańskiej istniała bowiem również szkoła wiedeńska oraz dobrze widziana tradycja ludowa. Wyznanie wiary w jednego Boga – naturalnie w ramach czterech dostępnych równorzędnych konfesji – było nie tylko wskazane, ale wręcz wymagane. Idea wielonarodowego i wielowyznaniowego państwa, które gwarantowało wszystkim mieszkańcom równe prawa, trafiła do Bośni z Austrii jako osobliwa nowinka i napotkała na głęboko zakorzenioną, wynikającą ze starych uprzedzeń

nienawiść. Ale także ta idea pochodziła wyłącznie od Boga i opierała się na relacji człowieka do Niego i do instytucji, które reprezentują Go na ziemi. Dla niewierzących czy ateistów Austro-Węgry nie mogły istnieć jako państwo ufundowane na jednej idei. Szczególnie jeśli miałyby to być idea różnorodności.

Gavrilo już na samym początku zadarł z nauczycielem religii. Został przyłapany na jedzeniu ćevapčićów w czasie Wielkiego Postu, i to na chwilę przed przyjęciem komunii. Ów gorszący incydent, którego katecheta używał potem jako straszaka na wychowanków, wraz z mnóstwem nieusprawiedliwionych nieobecności niechybnie doprowadziłby do skreślenia go z listy uczniów, gdyby Gavrilo w odpowiednim momencie nie poprosił o przeniesienie do Dużego Gimnazjum w Sarajewie. Profesorowie z Tuzli, zamiast mu odmówić i posłać go na ulicę, może na złość kolegom ze stolicy i z bogatszej szkoły, a może z litości albo w nadziei, że nicpoń się poprawi, spełnili jego prośbę, tak że od drugiego półrocza czwartej klasy Gavrilo uczył się już w mieście nad Miljacką. Wtedy też z zapałem zaczął pisać wiersze i postanowił, że poezja będzie jego przeznaczeniem.

Franciszek Ferdynand oczywiście nie chodził do zwykłych szkół. On zapoznawał się z historią i chwałą własnej dynastii, z nauką Świętego Kościoła Rzymskiego i całą resztą powiązanych z tym spraw. Wykłady prowadzili zacni biskupi, nadworni kronikarze i przyszli premierzy, a zajęcia trwały cały dzień. „Zmuszano nas do nauki wszystkiego, a efekt był taki, że na końcu niczego nie umieliśmy porządnie”. W wieku czternastu lat otrzymał stopień porucznika kawalerii, po czym kontynuował edukację, pnąc się po szczeblach wojskowej hierarchii.

Wcześniej zaczął korespondować ze stryjecznym bratem, o pięć lat starszym następcą tronu Rudolfem. Pisali do siebie o polowaniach, jeździe konnej i dworskich rozrywkach. Zachowały się, w większości, tylko listy Rudolfa, w których próbował wpłynąć na młodszego kuzyna, namawiając go do swobodnego życia i oporu wobec etykiety. Korespondencję prowadzili aż do samobójstwa w Mayerlingu, a mimo to ani razu nie wspomnieli w niej o polityce. Bez echa pozostały też zachęty Rudolfa, by porozmawiać o sztuce lub literaturze. Syn cesarza, dobrze wykształcony młodzieniec, był bowiem żywo zainteresowany kulturą i panującymi wtenczas modami intelektualnymi, czego o Franciszku Ferdynandzie akurat nie można było powiedzieć. Raz tylko udzielił mu się przekorny duch Rudolfa, a to wtedy, kiedy wbrew woli cesarza, równocześnie przystając na stawiane przez niego poniżające warunki, ożenił się z Zofią Chotek. Jeśli zaś chodzi o sztukę, literaturę, muzykę i poezję, o tych rzeczach Ferdynand nie wiedział nic albo prawie nic, czyli tyle, ile przeciętny wiedeński drobnomieszczanin tamtej doby. Taki zresztą miał też gust, iście drobnomieszczański i zatrwajająco niewyszukany w porównaniu ze standardami wcześniej obowiązującymi na dworze Habsburgów.

Poza kwestią odbioru sztuki, literatury i poezji Gavrilo Princip i Franciszek Ferdynand najbardziej różnili się w zakresie przeżywania swojej seksualności i miłości fizycznej. Byli jak antypody wskazujące skrajności losów, uczuć i poglądów całej epoki. Pierwszy – niespełniony poeta, typowy modernista, który życiowej i literackiej inspiracji szukał u serbskich i chorwackich poetów przeklętych: Vladislava Petkovicia Disa, Simy Pandurovicia czy Vladimira Vidricia, aczkolwiek sam, czy to z powodów artystycznych, czy ideowych, zaprzysiągł celibat, narzucając

go również swoim kompanom jako bezwzględny wymóg rewolucji. Gdy wpadła mu w oko jakaś dziewczyna, co zdarzyło się kilka razy – słabość miał na przykład do siostry Čabrinovicia Jovanki – przyglądał się jej jak pustelnik: z dystansu, bez próby dotyku i bez słów. Drugi natomiast z miłości do kobiety niegodnej jego pozycji gotów był wyrzec się wszystkiego, łącznie z męską i książęcą dumą. Pozwolenie na ślub otrzymał jednak dopiero wtedy, kiedy stary cesarz ostatecznie pojął, że Franciszek Ferdynand prędzej zrezygnuje z aspiracji do tronu niż z ukochanej. Tym bardziej że linia dynastyczna osłabła i ani Franciszek Józef, ani dworscy technokraci nie umieliby wskazać lepszego od niego kandydata. Tak więc arcyksiążę poślubił Zofię Chotek, ale na poniżających warunkach. Panna młoda musiała pogodzić się z tym, że w świetle kryteriów dworu jej status nadal będzie niższy od pozycji najmłodszej księżnej. Weszli w związek morganatyczny: przyszły monarcha i ona, pozbawiona wszelkich honorów żona. Nie miało żadnego znaczenia, czy jest miłością jego życia, czy służącą. Jakby starego, zmęczonego Franciszka Józefa nic a nic to nie interesowało. Nie chciał jej ani poznać, ani widzieć. Tak zresztą umówił się z bratankiem, że póki żyje, wszystkie oficjalne ceremonie na szczeblu państwowym będą się odbywać bez udziału tej kobiety. Franciszek Ferdynand zaakceptował jego decyzję, niemniej nadal wierzył – i wcale tego nie ukrywał – że pewnego dnia, kiedy już zdobędzie władzę, zmieni pozycję żony w hierarchii dworu.

Jego wyjazd do Bośni na wielkie czerwcowe manewry miał z tym bezpośredni związek. I chociaż początkowo ustalono, że hrabianka nie może towarzyszyć arcyksięciu w wizytach tego typu, on nie dość, że uparcie zabiegał o nadanie jej stosownej rangi, to jeszcze trwał na

stanowisku – czego kiedyś nauczył go Rudolf – że elity nie powinny narzucać mu swoich obyczajów ani urządzać życia. Wyjeżdżając do Sarajewa, pokazał, że racje prywatne stawia ponad racje monarchii. Był to ważny i dramatyczny moment w jego karierze politycznej. W najważniejszą podróż, kiedy poza demonstracją siły wojskowej Austro-Węgier miał przedstawić Bośnię i Hercegowinę jako podmiot, który suwerenną decyzją swojego parlamentu zgodził się na aneksję, w 1908 roku stając się dobrowolnie częścią imperium, Franciszek Ferdynand postanowił zabrać morganatyczną żonę, by przekonać świat, że oto towarzyszy mu nie osoba niższego stanu, tylko przyszła cesarzowa, z którą będzie dzielił tron – tak jak w Sarajewie będzie z nią dzielił siedzenie automobilu.

Wiele osób próbowało odwieść go od tej wizyty. Sytuacja w Bośni była niepewna, prawosławni Serbowie wciąż nie zgadzali się na aneksję, zacięta nienawiść między wyznawcami różnych wiar psuła tkankę społeczeństwa, a starania niegdysiejszego ministra finansów i namiestnika prowincji Benjámina Kállaya, by z trzech (czyli czterech) religii stworzyć jeden naród bośniacki, nie tylko spaliły na panewce, lecz dodatkowo pogłębiły animozje wśród lokalnych elit. Wyjazd do Sarajewa, ta prowokacja wymierzona w Serbów, Rosjan i Francuzów, wydawał się zupełnie niepotrzebny, a i ryzykowny dla samego arcyksięcia. Zamachowcy mogli bowiem przybyć i ze wschodu, z Belgradu, i skądkolwiek indziej. Na przykład dwa lata wcześniej strzelano w Zagrzebiu – 8 czerwca 1912 roku robotnik z Bośni, Chorwat i katolik Luka Jukić o mały włos nie zabił lojalnego wobec monarchii bana Slavka Cuvaja. To wydarzenie oraz fakt, że społeczeństwo w większości stanęło po stronie rewolucjonisty, potwierdziły tylko, jak bardzo podminowana była także ówczesna Chorwacja.

Wreszcie: niebezpieczeństwo groziło arcyksięciu ze strony samego Sarajewa i sarajewskiej čaršii, której sympatii i nastrojów nigdy nie da się do końca przewidzieć.

Czy zadecydowały czynniki wojskowe i państwowe, a może Franciszek Ferdynand pojechał do Bośni z innych, romantycznych pobudek? Oczywiście wszyscy wolelibyśmy usłyszeć, że przez arcyksięcia przemawiał zakochany mężczyzna i honorowy mąż, a Wielka Wojna wybuchła z powodu nieszczęśliwej miłości. Prawda jednak jest taka, że jego uczucia i wynikająca z nich długa walka z dworem o Zofię uśpiły w nim czujność i tym samym zwiększyły prawdopodobieństwo udanego zamachu.

W sobotę 27 czerwca 1914 roku następca tronu wydał kolację dla czterdziestu sarajewskich dostojników, a po jej zakończeniu razem z małżonką przyjmował gości w foyer hotelu Bosna w Ilidży. Ten hotel istnieje do dziś, jak zresztą wszystko inne: ta sama jest nienawiść i jej przyczyny, ta sama architektura okaleczona przez wojny i – jeszcze bardziej – przez powojenne renowacje. Przy odrobinie dobrej woli można by też wskazać miejsce, w którym stoi Zofia, wyprostowana, wysoka brunetka pod pięćdziesiątkę (prawie rówieśnica piszącego te słowa), i rozmawia z sarajewską elitą. Arcyksiążę jej przy tym asystuje, ale tylko uśmiecha się, ewentualnie dorzuca pojedyncze słówko, zadowolony, że nareszcie znalazł się tu, gdzie jego żona cieszy się takim samym szacunkiem jak on, ponieważ prymitywni i prości tubylcy nie widzą między nimi dwójkiem różnicy, nie znają starych praw dynastycznych i nigdy nie słyszeli o morganatycznym związku. W ich oczach kobieta, jeśli ma męża, pozostaje na zawsze kobietą, a jej cześć równa się jego czci.

Dobrze byłoby wiedzieć, o czym myślał Ferdynand, kiedy w milczeniu słuchał, jak żona chwali się przed

gospodarzami, że ich trzynastoletni syn Maksymilian, notabene imiennik szalonego cesarza Meksyku, zdał wszystkie egzaminy w szkole kadetów. „Właśnie przyszedł telegram”, wyjaśniła i zaraz zmieniła temat, zaczęła zachwycać się pięknem okolicy, atmosferą łaźni podobnych do tych w Carogrodzie i porządkiem panującym w Ilidży, która, pełna łąk i zieleni, przypominała jej mały Prater. Mówiła bez przerwy, tak jak zazwyczaj robią kobiety, gdy uwolnią się od wielkiego strachu. Przed wyjazdem bała się bowiem nieznanej orientalnej Bośni i wcale tego nie kryła, a teraz ten kraj okazał się przyjazny i nawet w pewnym sensie jej bliski. Dwa dni wcześniej, w czwartek 25 czerwca, odbyła z mężem nieplanowaną przejażdżkę po Sarajewie: zwiedzała Bašćaršiję, robiła zakupy w małych sklepikach, tak jak turyści sto lat później zaopatrywała się w dżezvy, imbryki i czarki do kawy i tak jak oni nie czuła w powietrzu ani krzty zła, a jedynie łagodność, uprzejmość czy wręcz unizoność ludzi, których dni miały wyjątkowo spokojnie, że aż trudno było sobie wyobrazić, by kiedykolwiek chcieli w imię czegoś stracić życie. W odróżnieniu od nieprawdopodobnego tempa życia w Wiedniu czy Paryżu życie w Sarajewie płynęło tak niespiesznie, że w tym mieście nawet nabój wystrzelony z rewolweru leciałby setki lat, nim trafiłby lub chybił celu. Tak to wyglądało wieczorem 27 czerwca 1914 roku.

Wtedy przedstawiono jej doktora Josipa Sunaricia, pochodzącego z Travnika sarajewskiego adwokata i wiceprzewodniczącego Zgromadzenia Bośniackiego⁷, który przez ostatnie kilka tygodni listownie ostrzegał Wiedeń, że wizyta nad Miljacką może skończyć się źle. Zofia zapamiętała go i podczas spotkania, jak podają austriackie

7 Zgromadzenie Bośniackie (Bosanski sabor) (1910–1915) – namiastka parlamentu w anektowanej przez Austro-Węgry Bośni i Hercegowinie.

źródła, powiedziała mu tak: „Drogi mój doktorze Sunariću, a jednak nie miał pan racji. Jak widzę, nie zawsze sprawdzają się pańskie prognozy. Gdziekolwiek się pojawialiśmy, wszyscy, do ostatniego Serba, przyjmowali nas niezwykle serdecznie i uprzejmie, więc nie pozostaje mi nic innego, jak stwierdzić, że z przyjazdu tutaj jesteśmy bardzo zadowoleni”, na co Sunarić zareagował tak: „Wasza Wysokość, niech Bóg da, żebym usłyszał te słowa jeszcze raz, kiedy będę miał honor znów Was widzieć, jutro wieczorem. Jeśli tak się stanie, spadnie mi z serca wielki kamień”. I tu, w zasadzie, ta historia się skończyła. Trasa przejazdu przez Sarajewo została wytyczona, a ofiary – mimo że para książęca jeszcze żyła – zabite. Los się dopełnił, kwestią otwartą pozostawało jedynie *mise-en-scène*. O nim zdecydował jednak przypadek, który na zawsze połączył też dwóch mężczyzn, Gavrila Principa i Franciszka Ferdynanda.

Gavrilo nie wiedział, że zastrzeli następcę tronu. Mógł to zrobić, był bardziej zdeterminowany niż reszta spiskowców, ale według planu to nie on miał dokonać zamachu. Ustalono, że wkroczy do akcji, dopiero kiedy zawiodą inni. Jak spędził noc z soboty na niedzielę, co robił, o czym myślał, z kim rozmawiał – tego nigdy się nie dowiemy. Podczas śledztwa zeznawał chłodno i bez sentymentu, milcząc o emocjach i sprawach osobistych, czym odróżniał się od pozostałych konspiratorów. Był z nich wszystkich najskrytszy.

O tamtej nocy, kiedy księżna łagodnie napominała adwokata Sunarića, a arcyksiążę nic, tylko się uśmiechał, traktuje wiersz Abdulaha Sidrana ze zbioru *Sarajevska zbirka* (Sarajewski tom), pochodzącego z początku lat osiemdziesiątych i współtworzącego literacki fundament stolicy Bośni. To między innymi dzięki tej książce

Sarajewo stało się bardziej rzeczywiste i żywsze niż niejedna prawdziwa metropolia, to w jej wersach przetrwało wspomnienie miasta, w którym artyści, co dziś trudne do pomyślenia, mogli zajmować się stanem ducha swoich zamachowców i nie ograniczali ich w tym ani wodzowie narodu, ani pasterze ludu.

Gdyby nie poeta, ostatnia noc Gavrila przed zamachem została przemilczana, a niniejsza opowieść o dwóch obcych sobie, lecz na wieki połączonych przez los i historię mężczyznach – niedokończona. Wiersz Sidrana ma jednak jeszcze jedną zaletę: pokazuje, jak „wczoraj” sarajewianie traktowali Gavrila Principa i jego ofiarny czyn.

Oto i on, tekst pełen uczuć, które dzieliła kiedyś całe miasto:

Gavrila dręczą mary, jutro odda Strzały

Ta noc jest nieprawdziwa, cicha niczym piekło,
które nie istnieje. Ludzie, domy, rzeczy
zatopieni w nafcie. Pora dla niepewnych:
trzeba zejść na palcach po zbutwiałych schodach,
dotknąć dłonią muru, nafty, trzeba
powiedzieć: chodźmy, duszo, po broń! Bo
tak nieprawdziwa i cicha jest ta noc. Nikt
nas nie ostrzeże: jutro będzie koszmar!
Jutro będzie miłość! Czaszka wypełnia się
straszną światłością. Spieszymy, duszo,
po broń, póki blask nie złamał kości!
Kuje się gdzieś blisko tarcza najprawdziwsza,
hafciarki nocne szyją ciepły płaszcz
dla ciebie, dla ciebie, duszo niepewna! Biegnijmy,
aż pęknie nam kość, bo zaraz świt, i znów:

wdychać będziemy szrapnele powietrza!
Spieszmy, duszo, po broń, nim wstanie brzask,
nim umrze nasz bóg. Potem nie będziemy
mieli z kim rozmawiać, ani czym. Legniemy
martwi w mroku i w nafcie przez lata, co głucho
i ciężko, i tępo spadną na barki stuleci, jak noc
nierealna na moje barki spada, ta noc
z blasku i zewu: ruszajmy, duszo, po broń!

Należało, sugeruje wiersz, przygotować się do Strzału i strzelać kolektywnie, bez zastanowienia, do kogo się mierzy. Trzydzieści lat później, w wyniku zmian niezwiązanych ani z Gavrilem, ani z Ferdynandem i Zofią, wypaczyła się perspektywa i nie ma już zamachowca, lecz są jedynie jego ofiary. A tych jest wiele, i to nie tylko następca tronu i jego żona. Śmiertelnie ranni, a mimo to jakże żywi, są wszyscy ci, którzy dzisiaj o Principie mówią z nienawiścią, stosując wobec niego moralne, kulturowe i polityczne kryteria współczesnego świata. Nie interesuje ich, o co walczył, w co wierzył ani jak wyobrażał sobie idealny świat, tak samo jak nie interesuje ich, w co wierzył i jak wyobrażał sobie idealne relacje między ludźmi i narodami Franciszek Ferdynand i czy jego poglądy pozostają w zgodzie z moralnymi, kulturowymi i politycznymi standardami współczesnego świata.

Z literackiego punktu widzenia ciekawie jest zestawić tych dwóch mężczyzn, gruźlików i synów silnych, dominujących matek (a w zasadzie matki i macochy), i znaleźć dla nich wspólny mianownik, jedną opowieść. Bo w rzeczywistości – o czym nie wolno nam zapominać – ich spotkanie trwało najwyżej trzy sekundy. Ledwie zdążyli na siebie spojrzeć. Następca tronu może nawet nie widział młodzieńca z pistoletem, a Gavrilo, co później sam

przyznał, osobą arcyksięcia wcześniej ani się nie zajmował, ani nie chciał zajmować. Ferdynand był dla niego symbolem władzy, tyranem. Tyle mu wystarczyło, bo gdyby zaczął doszukiwać się w nim człowieka, nie zabiłby go. Wycofałby się tak jak Bogdan Žerajić⁸, który w 1910 roku w Mostarze miał na wyciągnięcie ręki cesarza Franciszka Józefa, ale zamiast sięgnąć po broń i nacisnąć spust, zobaczył przed sobą starca. A jak strzelać do starego człowieka? Albo innymi słowy, cytując wielkiego pisarza z Sandżaku Ćamila Sijaricia: jak strzelać do niedźwiedzia patrzącego na zachód słońca?

8 Bogdan Žerajić 15 czerwca 1910 roku oddał niecelne strzały do komendanta Bośni i Hercegowiny, generała Marijana Varešanina, po czym popełnił samobójstwo.

